Rozmaitości

Dnia 30. Września Nr 39. 1837 Roku.

SYN CHRZESTNY.
POWIEŚĆ Z XVIII. WIEKU.

JADAMA Z ZATORA.

Nie użył
Kto nie zasłużył.
Stara przypowieść.

I.

Konstancyja, ubogiego domu córka, wolę matki wypełniła, oddając swoję rękę podkomorzemu Rawskiemu... Włos siwizną obielony, twarz marszczkami poradlona, świadczyła, że pan Radlica, młodéj i powabnéj Konstancyi małżonek, wstępował już w porę życia jesienną. Nie zdołał on zapewne obudzić w młodém sercu tkliwych uczuć miłości; wszakże szacunek, jaki powzięła ku niemu, dobra, a do stosowania się woli Boga wzwyczajona dziewczyna, nie zmniejszył się w dniu onym, kiedy jego małżonką być zaczęła; owszém z przeciągiem czasu podniesione zaszczepił w jéj sercu one do dozgonnego towarzysza rzetelne przywiązanie, które z latami rosnąc, ustala się i stawa się nie rzadko domowego szczęścia źródłem i podstawą. W towarzystwie z takim małżonkiem, śród zatrudnień około domu, zamożnego we wszelkie wygodnemu życiu pomocne dostatki, przepędziła Konstancyja dwa lata spokojnego i rzec można szczęśliwego życia.

Dnia pewnego w miesiącu letnim, młoda pani Radlicka, strawiwszy na samotności długie poobiedzie, usiadła późnym już wieczorem w roztworzoném oknie, które na ogród dotykający do dwora wychodziło. Ciepłe, żarem dnia upalnego wygrzane powietrze, spoczywało żadnym nie poruszane wiatrem. Księżyc w pełni przyświecał ziemi zwilżonéj rosą, któréj krople w kształt perełek połyskiwały na listkach i trawach. Pod oknami kwitnąca rezeda miłym zapachem balsamowała powietrze, którém oddychała samotniczka, przysłuchująca się pieniom słowiczym. Atoli zdawać się mogło, iż nie była do tyla swobodnéj myśli, ażeby rozkoszy, jaką pogodna letniego wieczora chwila czuć ją umiejącym nastręcza, zupełnie oddać się mogła; długa nieobecność męża budziła tęsknotę, a wraz ze smutném westchnieniem te słowa wypłynęły z ust dumającéj: »Mój Boże, jakże mnie smutno bez niego; oby już wrócił do mnie. Nie wiedziałam, że go kocham tak bardzo.« Te słowa z serca idące posłyszane były od mężczyzny, który w małém oddaleniu w altanie, pnącym się chmielem zacienionéj, stojąc ukryty, wpatrywał się w siedzącą w oknie niewiastę. Światło księżyca, padając na Konstancyją, czarodziejskiego dodawało uroku jéj twarzy i całéj postaci. Wyrazowi smętnéj duszy, malującemu się na jéj obliczu, zdawał się odpowiadać włos niedbale rozpuszczony na ramiona, jasnéj białości i rozkosznego kształtu. Na ramieniu, które się wspiérało na kolanie, schylające się ku ziemi wspiérało się czoło. W drugiéj opuszczonéj dłoni trzymała gałązkę róży już zwiędłéj. W takiéj postawie, w takim stanie melancholicznego dumania będąca niewiasta, zdawała się wywiérać czarodziejski wpływ na patrzącego w nią młodziana, którego twarz niezwyczajnym gorzała rumieńcem, a bystre oko patrzało z takiém natężeniem, jakoby rade było wcisnąć się w głąb serca niewiasty, i te, co ją zajmowały, odgadnąć myśli. Kilkakrotnie zrywał się szpiegujący młodzian, krokiem naprzód uczynionym wydając ochotę zbliżenia się do Konstancyi, atoli jakąś uwagą zatrzymany znowu, cofnął się do altany, i nie zwracając od niewiasty oka,

czekał, a w czekaniu niecierpliwy przygryzał usta, i targał liście chmielowe, które ręka jego zrywała z gałązek. Alić ledwieco posłyszał te słowa, które Konstancyja wyrzekła, rzucił liść, co w ręce trzymał, poprawił czapki i wyskoczył z altany. Zbliżającego się nie postrzegła Konstancyja pierwéj, aż na dłoni swojéj poczuła obcéj ręki dotknięcie.

»Na Boga!« zawołała przestraszona, a tracąc równowagę, zesunęła się z okna, na którém siedziała, i znajdowała się w ogrodzie obok mężczyzny, którego widok zatrwożył ją i zadziwił.

»Konstancyjo! czy przestraszyłem ciebie?« przemówił młodzian; »nie, nie wierzę temu, ażeby przybycie moje, choć niespodziewane, miało uczynić na tobie wrażenie tak niemiłe.«

»Hipolicie! ty tutaj? w tém miejscu? o téj godzinie?« drżącym głosem mówiła Konstancyja. »Na Boga! puść mnie, ciśniesz mi rękę, ja się boję ciebie. Widzisz sama jestem, odejdź ztąd, odejdź proszę ciebie.«

»Samą jesteś, i dla tegoż ja mam się oddalać? ach, raczéj korzystać mam z téj chwilki, którą los nadarzył... Konstancyjo!«

»Panie Hipolicie, jeżeli spokojność moja i sława moja miła tobie, oddal się ztąd natychmiast, albo dozwól, bym wróciła do...«

»Tak pilno tobie!« szydersko się śmiejąc odrzekł Hipolit.

»Przecież staruszek twój w Lublinie dziś... Biedna, litości godna istoto!« dodał. »Ofiaro zaprzedana bogactwu, któż nauczył ciebie mowy takiéj, którą mową czynisz sobie tylko zabawę, łudząc przyjaciela swojego. Ha! jam mniemał, że przyjaźń tylko mam w sercu dla ciebie, alić zaledwiem dom ten i ciebie opuścił, poznałem, że ta przyjaźń moja, ma w sobie nieszczęśliwéj miłości wszystkie bole i męczarnie.«

Konstacyja na te słowa zbladła, drészcz trwogi ją przeniknął, chciała uciekać, Hipolit ją zatrzymał, objął rękoma i do siebie przycisnąwszy głosem zapału zawołał:

»Tak bóstwo moje, Konstancyjo! kocham cię, kocham miłością, która przywiedzie mnie do szaleństwa, jeżeli nie powtórzysz tych słów, które tęsknota za mną wymówiła z serca twego, a którem ja podsłuchał. Konstancyjo! jesteśmy sami, porzuć to udanie, powiedź to słowo jedno: j e s t e m t w o j ą. Konstancyjo! tu przy nogach twoich klnę się na wszystko, jam gotów, ja uwolnię ciebie od...«

To mówiąc rzucił się na kolana przed Konstancyją, z podziwu, trwogi i zgrozy osłupiałą. Alić przeczuciem niebezpieczeństwa, jakie słabéj bez obrony będącéj grozić się zdawało przeniknięta, podołała się upamiętać.

»Zapominasz się,« rzekła tonem powagi. »Ja mam męża!« odsunęła się szybko od klęczącego, i w dłoni Hipolita pozostała tylko gałązka sucha, którą Konstancyja wypuściła z ręki. A kiedy szałem namiętności miotany młodzian obrócił się spojrzeniem za odbiegłą, już Konstancyi nie doścignął okiem, tylko skrzyp otwiérającéj się furtki ogrodowéj, a potém łoskot spadającéj, obił się o ucho jego. Zerwał się na nogi i pędem wybiegł z ogrodu na podwórze, na ganek. Drzwi do przysionka zastał zamknięte. Nie mając odwagi zakołatać w nie, pobiegł do okna, osłupiałemi oczyma wpatrywał się w izbę ciemną i cichą.

Po chwili, gdy wrócił do sadu znowu, okno od sypialni już zamknięto drewnianą okienicą. Udręczenie jakiego w życiu swojém nie doznał nigdy, szarpało i rozdziérało serce jego. »Niepojęta, niedocieczona!« mówił do siebie myślą; przerzucany po drodze domysłów, błąkające się marzenie oparł na ostatnich, które z ust Konstancyi posłyszał słowach: »J a m a m m ę ż a ;« na tych słowach zawisł wszystkiemi myślami swojemi.

II.

Noc upłynęła. Brzask świtania zastał go na gościńcu Rzeszowskim. Krokiem powolnym szedł, idąc spotkał się z wieśniakiem, który go pozdrowił używaném w Polszcze słowem: *Niech będzie pochwalony!*

»Bez urazy,« zagadał wieśniak, »czy dobrze idę do Lazanówki?«

»Do pani Radlickiéj? z jakim interesem?«

»Nie interesem, ale listem.« To mówiąc wieśniak, wydostał z zanadrza list.

Hipolit chciwą ręką go pochwycił, oddarł pieczątkę i odczytał treść pisma następującą:

»Kochana od serca Kostusiu!«

»Dozwoliły łaskawe nieba, iż nad *sperancyję* »moję prędzéj zakończyły się *roki* tegorocz»nego trybunału, odprawionego pod orędow»ném skrzydłem jw. prezydenta. O czém »Jmości Dobrodziéjce, a sercem kochanéj Ko»stusi, umyślnym wysłanym daję *relacyją*,

»jakoteż i o tém, iż w niedzielę, da Bóg do»czekać, po wysłuchanéj mszy ś., puszczam »się w Imię Boskie w drogę do domu. Acz»kolwiek rzecz ta nie tajna Jmości Dobrodz. »a sercem kochanéj Kostusi, iż folgując obo»wiązkowi, z ciężkiém sercem oddalałem się »od Jéj osoby; przecież nie mogę nie po»wtórzyć, iż ta moja przydługa *absentyja* »z domu przykrą mi była wielce i nieznośną, »gdyby ją nie słodziła *konwikcyja*, iż się było »nie próżnującym żeglarzem przy okręcie »po morzu sprawiedliwości, wykrętarstwem »i fałszem zawichrzonéin. Aleźto niech po»służy ku *konsolacyi* Jmość Dobr. a ukochanéj »sercem Kostusi szlachetnéj duszy (którą nie »wynoszę, ani przymiotów wyliczam, bo złota »nikt nie pozłaca, ani też słodyczy cukruje), »iż żadna najmniejsza *makula* nie oczerniła, »żaden podarek nie obciężał sumienia, czy»stém licem i nieskalaném sercem, gdyby tak »padło z wyroków nieba, stanąłbym dziś przed »sądem Boga. *Konkludując* to pisanie moje, »udaję się do dobroci serca Jmości Dobrodz. »a najukochańszéj Kostusi, ażeby, jeżeli to »być może, wyjechała mnie na przeciwko do »Sędziszowa, do którego miejsca niezawodnie »czwartym noclegiem stanę.

»Jmości Dobr. a sercem kochanéj Kostusi, »z szczérym afektem zostający do grobowéj »deski. Jan Radlica.«

»Datum w Lublinie.«

III.

W godzinie po dzwonieniu wieczornéin w mieście Sędziszowie, wstąpił do gdańskiego kramiku człowiek młody. Przywitany ukłonem od kupca, zapytał się: »Żali tu dostanie trucizny?« Zadziwiony kupiec zająkał się, wreszcie rzekł: »Bez wątpienia o truciznę na myszy pyta się waszmość?«

»Innéj trucizny czy nié ma?« zapytał obcy.

»Bez urazy, radbym wiedział na jakąto potrzebę; bo szczurom, jeżeli są w domu, moja trucizna podoła.«

»Mnie innéj potrzeba,« była odpowiedź obcego.

»Znajdzie się i inna,« odrzekł kupiec, »ale na to, mówiąc otwarcie, prawo zaleca ostrożność wielką w przedaży tego artykułu, i temu jedynie, który się opisze z imienia i przezwiska. Jestem człowiekiem sumiennym, i *stricte* się trzymam wysokich rozkazów.«

»Taką rzeczą czas tu stracę daremno i nie jeden też kramik w Sędziszowie.« To rzekłszy młodzian zabiérał się do odejścia.«

Kupiec zatrzymał go, podumał chwilę, wreszcie rzekł: »Zda mi się mam proszek arszenikowy, ale w schowaniu w piwnicy, proszę o chwilkę cierpliwości.«

Po odejściu kupca Hipolit (a nim był ów młody człowiek) zaczął się przechadzać wdłuż sklepu. Po chwili, która czekającemu długą się być zdała, wrócił do sklepu kupiec, przyniósł proszek w papiér obwinięty, wszakże nie wprzód oddał w rękę Hipolita, za nim nie otrzymał przyrzeczenia ze strony jego, iż jakikolwiek z téj trucizny zrobi użytek, nie wyda, w którym otrzymał ją sklepie.

Hipolit zapłacił podaną sobie cenę, i nie rzekłszy słowa oddalił się.

IV.

W Sędziszowie w gospodzie Żyda Majorka stanął noclegiem j. w. deputat na trybunał koronny Lubelski pan Radlica, podkomorzy Rawski. Gospoda Żyda Majorka była najlepszą w miasteczku, i lepsza od karczem, jakie na onczas bywały po wioskach. Do wiejskiéj bowiem, jeżeli zajechać wypadało któremu ze znakomitych podróżnych, nie mało miał pracy i zachodu wysłany przodem marszałek, albo szafarz, za nim sposobną ją uczynił do przyjęcia pańskiego. Gospoda Majorka nie potrzebowała takich przygotowań; miała dwie gościnne stancyje; właściwie składały one jednę obszérną izbę, którą atoli przezorny gospodarz przegrodził ścianką z tarcic, a czyniąc to, miał na widoku większą podróżujących panów wygodę.

Podkomorzy zajął jednę z tych stancyj. Rozpakowane zostały tłómoki, posłane łoże. Znakomity podróżny odziany w szlafroku, w botach futrzanych, siedział wedle stoła kobiercem nakrytego; lulkę na długim cybuchu trzymał w ręku, ale jéj nie palił. Za otworzeniem drzwi od sieni wszedł szafarz, człek już osędziwiały, zieloną miał kurtę na sobie, i szare obwisłe spodniska, które w cholewy wchodziły.

»Dobrze żeś przyszedł mój Tomaszu,« odezwał się do niego podkomorzy. »Smutno mnie samemu. Spodziwałem się Kostusi mojéj. Że też nie przyjechała; bardzo mi to markotno. Czy jeno nie zasłabła?«

Ba jeszcze co; Jmość to samo zdrowie; niech się wielmoż. pan nie turbuje takiemi *reflexyjami*; jutro, da Bóg doczekać, o południu staniemy w domu, a troskom będzie koniec.«

»Radbym z duszy być już w domu; wypocznę sobie z téj drogi, i może przyjdę cokolwiek do siebie, bom jakiś nie zdrów. Coś mi dolega, apetytu ani za grosz, i lulka nie smakuje. Trzeba będzie podobno poznać się z panią apteką. Cóż robić, suknia stara, to się też i drze.«

»Nie tać to przyczyna, nie ta,« odrzekł szafarz; »wiém ja ci co w. panu dolega, i swoje powtarzam, że on pan Hipolit, chrzestny synek pański, nie wart tego, ażeby się pan skróś niego turbacyjami trapił. To chłopiec z gruntu ladaco. Wyjdzie na moje, nie będzie z niego nic dobrego. Otóż takato mi wdzięczność, taka odpłata za te wszystkie łaski i dobrodziejstwa, które z szafunku w. pana odbiéra od trzech lat; ba dłużéj, bo kiedyżto było, kiedy biédną sierotę bez ojca i matki w. pan przyjął do domu swego, chowa i odziéwa, płaci w konwikcie w Rzeszowie za niego. Chłopiec winien był się akomodować dobrodziejowi swojemu, nauki pilnować. Pięknie jéj pilnuje, sprzykrzyła mu się szkoła, uciekł od książki. Poszedł sobie ten nic dobrego, tém ci lepiéj, *baba z wozu, konikom lżéj*. Owoż moja rada. Niech w. pan porzuci te turbacyje, bo one zdrowia nie dają, a jeżeli wróci znowu ten synek marnotrawny, wyciąć mu kapitułę i odprawić z kwitkiem. Ażeby tak na mnie, kazałbym mu, jak Boga kocham, wypalić jakie ze sto...«

»Tomaszu,« przerwał mówiącemu spokojnym głosem podkomorzy. »Skrzywdziłeś Hipolita, który jest u mnie tyle, co syn. Wiadomo tobie, iż z rodzicem jego, zacnym wojskim Sandomirskim miałem przyjaźń, ba, zażyłość wielką. Więc kiedy przypadek zdarzył spotkać Hipolita, któregom do chrztu trzymał, mógłemże nie uczuć *kompassyi?* widząc chłopaka w takiém opłakania godném zaniedbaniu? Prawda, iż nie doznaję jeszcze téj pociechy, jaką obiecywałem sobie z pupilla mojego, nie jedno sprawił mnie zmartwienie, a teraz kiedy przyjechawszy do Rzeszowa, profesor uczynił mi *relacyja*, jako bez pozwolenia oddalił się z konwiktu, żywo dotknięty zostałem tym lekkomyślnym postępkiem młodziana. Ja wszelako kocham go jak wprzódy, nie potępiam, ani go cenzuruję surowo, zważając na okoliczności, które mówią za nim, i w oczach moich zmniejszają jego winę. Albowiem jako winszować i przyszłość dobrą zwiastować można dziecku poczynającemu życie pod okiem rodziców, którzy pierwszemi jego kierują krokami, i w młodociane serce szczepią piękne uczucia, źródło szczęścia rozlewające się na całe życie, tak w równéj mierze litować się godzi nad sierotą, która zbawiona pieczołowitości rodzicielskiéj, w dojrzalsze idzie lata bez ręki, coby prowadziła ją i wdrażała w prawą cnoty i obyczajności ścieżkę. W tak smutném położeniu znajdował się Hipolit, straciwszy rodziców w niemowlęctwie; dostał za opiekuna człowieka, którego własne sprawy bliższe były pamięci, jak obce dziecko. Dobre wychowanie dziecka gruntuje się, zdaniem mojém, na usposobieniu go do dobrego użycia czasu, i to sprawić, powinno być usiłowaniem tych, którzy wychowanie młodzieży w swoim obowiązku mają. Hipolit swoje młode lata zmarnotrawił próżnowaniem; alić nie jemu poczytam to za winę, ale opiekunowi; Bogu zda sprawę, że duszę bliźniego poleconą sobie, którą Bóg zdolnościami uposażył i usposobił do przyjęcia zasiewu cnoty, ów opiekun zostawił, że tak powiém, leżącą odłogiem i pozwolił zarastać zdrożnościom i narowom, jakoby chwastom jakim, które wylęga próżniactwo... Rozgadałem się w téj materyi szeroce,« dodał pan Radlica, »przeciw zwyczajowi mojemu, alem to uczynił z umysłu, abym zkonwinkował ciebie Tomaszu, bo źle uprzedzony względem Hipolita już to nie po raz pierwszy osądziłeś go tak ostrze. Wyznam, iż nie rad słucham ciebie tak źle mówiącego o pupilu moim, którego miłuję jak syna własnego, i za syna adoptować go pragnę. Dla tegoć stanąłem w jego obronie dziś, luboć masz wiedzieć, mój Tomaszu, wynurzę się przed tobą z mojém umartwieniem, które jest bolesne. Dowiedz się zatém: on Hipolit, niewdzięczny za tyle przywiązania, za tyle łaski, podkopuje domowe szczęście moje. Z Rzeszowa z konwiktu poważył się pisać list do mojéj Kostusi.«

»Co ja słyszę!« zawołał szafarz, osłupiały z podziwienia.

»List dostał się w moje ręce, odczytać go musiałem. O mój Tomaszu, żaliż uwierzysz temu, on kocha się w mojéj żonie.«

»Sodoma i Gomora!« krzyknął słuchający, a w. pan jeszcze utrzymuje, że...«

»Cicho, cicho Tomaszu, tu w drugiéj stancyi obok stoi jakiś gość, słyszałem jak go Żyd wprowadzał, zdaje się, że się już położył; trzeba mieć dyskrecyją.«

»Ależ bo, wiel. panie,« zarzucił Tomasz, to zbrodnia, wołająca do nieba o pomstę.«

»Ucisz się Tomaszu, już późna godzina, trzeba iść do łóżka. Postaw tu przy łóżku karafkę z wodą, nieugaszone mam pragnienie.« Szafarz wypełnił zlecenie pańskie, postawił na stole przy łóżku butelkę wody i szklankę.

»Jutro radbym zebrać się raniéj,« przemówił podkomorzy, nalewając wody do szklanki. »Że też to Kostusia moja nie wyjechała na przeciwko, może ją nie doszło pisanie moje, albo czego panie uchowaj, może Hipolit...«

Kiedy tak dumał podkomorzy, szafarz tym czasem, zwyczajem swoim, obejrzał okna i popróbował każde, czy dobrze zamknięte; stanąwszy nareszcie u drzwiczek, które do przyległéj prowadziły stancyi, zagadał: »Wielmożny panie, u tych drzwiczek nié ma haczyka. Nié ma czém zamknąć, a tu w nocy diabeł nie spi, mógłby temi drzwiami zakraść się zdrajca jaki.«

»Daj tam temu pokój,« odrzekł podkomorzy, »wszakże wiesz najlepiéj, *półkrytkiem*, którym przyjechałem, tym wyjechałem z Lublina, i nie wiozę z sobą pieniędzy, ani klejnotów żadnych, moje sumienie czyste...« — »To wszystko prawda, ale...« — »Bądź spokojny na to, idź na spoczynek; dobranoc tobie Tomaszu!«

»Idę, ale... nie zawadzi, spytam się gospodnika, jakiego to jegomościa ulokował w téj stancyi, bo mnie coś markotno, jakbym przeczuwał jakie licho. Niech wiel. pan przynajmniéj nie gasi świécy, bo to przecie bezpieczniéj, kiedy światło w izbie.« Domawiając tych słów wyszedł z izby szafarz.

Podkomorzy po odmówionéj modlitwie, zgasiwszy świécę, układł się na łożu, folgując potrzebie użycia spoczynku po mordującéj, którą odbył, drodze.

V.

Nazajutrz ledwie co świtać zaczynało, Hipolit już był na drodze do Rzeszowa. Twarz jego blada, odzież w nieładzie świadczyła, że albo dla niewygodnego noclegu, alboli dla przyczyny w nim samym będącéj, całą noc ubiegłą przetrawił bezsennie. Jego czołem spływał pot zimny, jak krople topiącego się lodu, a ktoby się był wpatrzył w niego, dostrzegłby na twarzy cień od tych myśli, które roiły się po tle duszy, jak obrazy fantasmagoryczne, co chwila inne, a przecież barwy zawsze jednéj, czarnéj jak zgryzota sumienia. Przybywszy do Rzeszowa, nie zatrzymał się nigdzie, prosto podążył do konwiktu.

Wprowadzony do konwiktora w pokornéj postawie żałującego, słuchał nauki i dawanych jemu napomnień. Na czynione jednak zapytanie, gdzie był i co robił przez dwa dni swojego oddalenia się ze szkoły, długo żadnéj nie dawał odpowiedzi. W końcu rzekł:

»Dwie prośby zanoszę do stóp p. profesora. Proszę najprzód, ażebym uwolnion był od zdania sprawy z moich postępków; powtóre błagam oto, ażebym za przewinę moję nie był karany cielesną chłostą, każdéj innéj karze poddam się z pokorą.«

Profesor, radując się submisyją i tém błędnéj owieczki nawróceniem się, przychylił się chętnie do próźb ucznia, a dnia następnego wyprawił posłańca do podkomorzego z listem, donoszącym o Hipolita powrocie do konwiktu. Nie omieszkał donieść ojcu chrzestnemu jako postrzegł widoczną i korzystną w synie chrzestnym odmianę, mianowicie żarliwszą ochotę do nauki i pobożność większą. Odpowiedź, którą odebrał, nie była od podkomorzego; leżącego w łóżku zastąpiła żona.

We dwa tygodnie poźniéj Hipolit przywołany do profesora, po długiéj przemowie, któréj celem było przygotowanie młodzieńca do smutnéj, jaką miał posłyszeć nowiny, dowiedział się nareszcie, iż jego ojciec chrzestny już z tym światem i z nim się pożegnał.

Wiadomość ta okropne uczyniła na nim wrażenie. Odrętwiał cały, łzy nie przyszły w pomoc żałości jego serca, a smutek, co opanował jego duszę, zdawał się odpychać od siebie wszelkie, jakie perswazyja starszych podawała mu pociechy. Zaprzestano lekarstw pocieszenia, widząc, że nie leczą, ale drażnią ranę i jątrzą cierpienia młodego. Zostawiono go w samotności, któréj szukał widocznie, unikając towarzystwa. Profesor wszelako,

mając ważną sprawę do załatwienia z Hipolitem, dni kilka poczekawszy, w mniemaniu, że odwłoka dalsza szkodę za sobą przynieśćby mogła, w brew przyjętemu w konwikcie zwyczajowi, udał się sam do stancyi Hipolita. Młodość nieszczęściem uświęcona znajduje poszanowanie nawet u starszych.

Po zapytaniu o zdrowiu, uczynił drugie, czyli jest sposobnym do wysłuchania ważnego, który jego się tycze, interesu. Hipolit dał odpowiedź zachęcającą. Profesor zatém po krótkiéj przemowie oznajmił mu: jako testamentem ś. p. pana Radlicy, podkomorzego Rawskiego mianowany jest sukcesorem tegoż uniwersalnym, w majętności na niego spadłe ma być wprowadzony, wszakże nie prędzéj, aż pojmie w ślub małżeński Konstancyję, wdowę po nieboszczyku; co jest nieodzownym warunkiem objęcia sukcesyi, ten bowiem warunek w testamencie wyraźnie jest położony.

»Testament jest ważny,« dodał profesor, »prócz tego, że własnoręcznie pisany i podpisany, prawdziwość brzmienia stwierdzają uproszonych świadków podpisy i pieczęcie. Piérwszym jest tedy aktem twoim jako sukcesora, wydać własnoręczny instrument czyli deklaracyję, jako tę po ś. p. panu Radlicy spadłą na ciebie sukcesyją przyjmujesz i obowiązujesz się wypełnić wyrażony testamentem warunek. Czynność tę masz tedy uskutecznić bez zwłoki. Przyniosłem owoż formularz, wedle którego deklaracyja ma być napisana. Odchodzę na teraz wystarać się o posłańca, którego z tym instrumentem wyślemy do rejenta aktów ziemskich, zachowując sobie na czas wolniejszy ten *plejser* powinszowania tobie szczęścia, jakie cię spotkało.«

Profesor, nie wiele się bawiąc, gdy do swojéj celi wrócił, z zadziwieniem postrzegł już leżącą na stole deklaracyję, ręką Hipolita pisaną i podpisaną przez tegoż.

»Proszę kogo, jak się uwinął,« rzekł do siebie. »Ja potrzebowałbym najmniéj godzinę wolnego czasu do załatwienia takiéj ważnéj czynności.«

Wdziewając okulary zaczął czytać deklaracyję Hipolita téj treści:

»Ja niżéj podpisany deklaruję się niniéjszym »instrumentem, jakoto: że sukcesyi po ś. p. panu »Radlicy, podkomorzym Rawskim, mnie testamen»tem pod warunkiem, ażebym poślubił Konstan»cyję, pozostałą wdowę, zapisaną, nie przyjmuję, »i takowéj na wieczne czasy się zrzekam. Ręka »Konstancyi nie może zostawać w związku z tą, »w któréj była trucizna, na zabicie jéj męża »przygotowana. Bóg przysłał żal do niezepsutego »jeszcze serca piérwéj, nim zła wola dokonała »swego zamiaru. Ale myślą zgrzészyłem, dalsza »osnowa życia będzie moją, za ten grzéch, pokutą.

»Hipolit, syn chrzestny.«

CZARNY FRAK CZŁOWIEKA
Z JENIUSZEM.

W końcu zeszłego wieku żył w ukryciu młody talent, którego kwiat, mający w czasie wydać najokazalsze wieńce, dopiéro się rozwijać zaczął. Będąc jeszcze nieznany od artystów, nikt nie postrzegł tego młodego talentu, tylko jego mistrz, stary skromny członek orkiestry przy komicznéj operze w Paryżu. Przysłuchując się nieraz z uniesieniem zachwycającéj grze swego ucznia, który w tak krótkim czasie go przewyższył, ani wątpił, że ten młody artysta, nazwiskiem Adryjan, zwróci z czasem na siebie uwagę publiczności, i ciesząc się już naprzód potajemnie, przywłaszczał sobie w myśli część sławy, którą Adryjan zjedna swojemu imieniu. Chodziło tylko o to, aby go przyzwoicie światu przedstawić. Nareszcie podała się sposobność. Na prośbę starego muzyka przełożeni teatru pozwolili, aby Adryjan w jednym nadzwyczajnym koncercie odegrał piérwsze kompozycyje swoje. Adryjan przyjął wiadomość tę z radością, podziękowaniem i przestrachem.

Z przestrachem?

Jako, czyliż nie dowierzał talentowi swojemu? Bynajmniéj; czuł bowiem, że sztuka, którą miał okazać w téj chwili, nie ujdzie bacznego oka miłośników muzyki, i od znawców przyzwoicie ocenioną będzie. Czegoż się więc obawiał, czyli raczéj strachał?

Że nié miał czarnego fraka!

»Gdzież dostaniemy czarnego fraka?« zawołali nagle obadwaj przyjaciele.

Ale stary mistrz jego miał frak czarny... wyśmienity ubior w saméj rzeczy, którego krój sięgał jeszcze początków rewolucyi podówczas nie zupełnie wygasłéj, i który uświetniał nie jeden festyn patryjotyczny, ale od tego czasu będąc najstaranniéj od swego właściciela w staréj szafie chowanym, miał szczęście tylko w nadzwyczajnych okolicznościach oglądać światło słoneczne.

Jakkolwiek wielce obchodziło muzyka, ażeby się powiodło jego Adryjanowi, jednak co się tycze majątku, tak miał ścisłe wyobrażenie, że to, co nazywał swoją własnością, choćby nawet na najkrótszy czas, nigdy nie lubił widzieć w obcym ręku. A teraz miałby widzieć, że kto inny chodzi w jego pięknym, czarnym fraku, w tym ulubionym stroju podczas uroczystości, w tym najdroższym klejnocie, który tak troskliwie dotąd szanował i wonią kamforową od zjadliwych mulów ochraniał — nie, na to nie mógł nigdy zezwolić!

Jednak miłość kunsztu odniosła zwycięztwo, muzyk pożyczył Adryjanowi fraka, zalecając mu najusilniéj, ażeby ile możności starał się ochraniać go od szkody. Lecz niestety! frak ten zrobiony był na dość otyłą figurę mistrza, a młody Adryjan był wcale szczupły! Lecz i tu wzięło przewagę zamiłowanie kunsztu, a młody artysta wdział na siebie frak czarny.

O siódméj godzinie wieczorem znajdowali się wszyscy trzej, muzyk basista, Adryjan i czarny frak w teatrze. Uczucie najtkliwszéj staranności o swego czarnego ulubieńca, i trwoga, czyli też Adryjan się popisze i oczekiwane zjedna sobie poklaski, miotały bez ustanku sercem starego mistrza, i objawiały się widocznie we wszystkich jego czynach. Raz udzielał uczniowi swemu z skwapliwością w swém mniemaniu potrzebnéj mu nauki, względem odegrania sztuk nowych, drugi raz dawał mu napomnienia, jak się ma zachować z jego frakiem, pokazując mu jak przy graniu trzymać ma ręce, aby łokcie tylko czasami odpoczywały; podobnież nauczał go jak w graniu unikać monotonu, i ustrzedz się splamienia sukni w przypadku, gdyby olej ciekł z lampy; jedną

ręką próbował na fortepianie czy zgodne są akordy, a drugą strzepywał proch z kołnierza i rękawów swego czarnego klejnotu.

W tym dyrektor muzyki zastukał smyczkiem trzy razy i wszędzie rozległ się głos: »Do orkiestry, do orkiestry, mości panowie!« Poważny mistrz był przymuszony zejść na dół i pierwszy raz ucznia i frak zostawić sobie samym.

Podówczas nie dawano koncertów jak w dzisiejszych czasach na scenie, ale na przedsceniu, to jest przed zasłoną spuszczoną, a orkiestra towarzysząca znajdowała się na dole na zwyczajném swém miejscu.

Przeto artyści grający solo, i występujący jeden po drugim, musieli z trudnością przedzierać się między pierwszą kulisą i zasłoną. Gdy przyszła kolej na Adryjana, starał się jak najostrożniéj przebyć tę niebezpieczną charybdę, ale ponieważ czynność ta była dla niego nową, potrzebował więc chwil kilka, nim się dostał na miejsce. A w tém ujrzał basista, jak jego czarny klejnot, że tak rzékę, powadził się z tłustym sznurem zasłony; poczciwy frak poniósł szkodę w téj bitwie, bo schwycił dwa szramy, które jak dwa pasy widocznie na rękawach jaśniały. Na ten okropny widok nie mógł się już basista dłużej wstrzymać w orkiestrze, poskoczył tak gwałtownie że omal pulpitu z notami nie wywrócił i bolesnym zawołał głosem. »Adryjanie, Adryjanie! przez Boga żywego miéjże wzgląd na mój frak czarny!«

Nie będę opisywał zawstydzenia i pomieszania młodego człowieka w chwili, gdy na niego zwrócone były oczy całego zgromadzenia, i gdy pierwszy raz występując publicznie, potrzebował całej przytomności umysłu. Wszelako pomieszanie trwało tylko chwil kilka. Jeniusz artystowski otrzymał górę, duch, który go zagrzewał, odniósł zwycięztwo nad pospolitą naturą, a spaniałą grę jego przyjęto z tak wielkiemi oklaski, jak gdyby się mu nic nie wydarzyło.

Po skończonym koncercie zapłonił się jeszcze raz wstydem szlachetnym, gdy zagłuszony oklaskami publiczności, przez dyrektora teatru przedstawiony był księciu de Talleyrand, który sobie życzył poznać go osobiście. Oddawszy zasłużone pochwały, rzekł z wielką łaskawością do niego: »Mój przyjacielu młody, proszę, abyś się udał do mego kasyjera, ten ci 500 franków wypłaci, za które sobie nowy, czarny frak sprawisz.« Bo nieszczęsny przypadek z frakiem starego muzyka, doszedł także uszu Augusta księcia de Talleyrand, który właśnie podtenczas w swéj loży był obecny.

W lat trzydzieści i trzy po tym przypadku znajdował się książę Talleyrand dla odzyskania przez starość osłabionego zdrowia w kąpielach de Hyeres w Prowancyi, gdzie w najprzyjemniejszym domu na tarasie, mającym najspanialszy widok na Morze Śródziemne, zgromadził był wielu artystów znakomitych, którym rozpowiadał tę anegdotę, wynurzając przytém żal szczery, z powodu, że w natłoku czynności ówczesnych, zaniedbał zupełnie ten talent wzrastający, tak dalece, że odtąd nic już więcéj o nim nie słyszał. W tym nagle stanął przed nim blady mężczyzna, mający bolesne rysy na twarzy i ozwał się do księcia, który w śród ciżby dotychczas go nie postrzegł. »Pozwól W. Ks. Mość, oto ja jestem ten Adryjan.« — »Wćpan!« — »Tak jest, ja sam... Adryjan Boyeldieu.«

Wtedy ujął książę już prawie gasnącego kompozytora *Białéj damy* i *Jana z Paryża* za szyję, i obudwom puściły się z oczu łez strumienie. Przyrzekli sobie, że odtąd często będą bywać u siebie.

Ale w kilka miesięcy poźniej spoczywał już Boyeldieu na cmentarzu *Pere Lachaise*.

— Ze Lwowa. —

Powszechne rozszérzenie nauk przyrody we wszystkich krajach cywilizowanéj Europy, dowodzą liczne dzieła w różnych gałęziach téj pięknéj i użytecznéj części umnictwa ludzkiego; każdy kraj prawie posiada już swoje *Fauny, Flory, Icnografije;* wszędzie pracują nad opisywaniem płodow ojczystych. Życzenia kilku uczonych ziomków spowodowały i mnie także do przedsięwzięcia *Historyi naturalnéj ptaków galicyjskich,* którą chcąc o ile możności dokładną uczynić, udaję się z prośbą do moich szanownych współrodaków, by jeżeli, jak się często wydarza, w którym obwodzie jakiego rzadkiego ptaka złapano lub ubito, niżej podpisanego o tém łaskawie uwiadomić raczyli. Szczególniejby mi miłemi były wodne i drapieżne ptaki, mianowicie wszystkie gatunki orłów i sępów galicyjskich, pardwy krajowe *(tetrao lagopus),* pszczołojad europejski *(merops apiaster)* i tym podobne rzadkie ptaki. *Stan. Konst. z Siemuszowéj Pietruski,*
towarzystwa badaczów przyrody w Altenburgu, powszechnego ogrodnictwa w Bawaryi i zakładu ludzkości dla Czech członek.
W Stryju *poste restante.*

Prywatne doniesienie o Karolu Lipińskim. Podług wiadomości, którąśmy wyczytali z listu, pisanego z Woźniesienska, miał tamże pan Lipiński ten wysoki zaszczyt grania w obec najj. cesarzowéj jéjmości i wielkiéj księżniczki Heleny. Dnia zaś 18. września powrócił do Odessy, gdzie kilka koncertów dać zamyśla.

Słownika czesko-niemieckiego, wydawanego przez J. Jungmana w Pradze, wyszedł tomu IIIgo zeszyt trzeci (od słowa *popružnj* do *přepilam).* A tak to nader pracowite, ważne i starannie wydawane dzieło zbliża się do swojego ukończenia; szkoda tylko, że szanowny wydawca nie poszedł torem Lindego i nie umieścił znaczenia słów we wszystkich sławiańskich narzeczach, bo tém do wzajemnego zrozumienia się byłby wiele Sławianom dopomógł.

Czytamy w »Kwiatach czeskich,« że p. Lerch z Lerchenawy, wyborny rzeźbiarz medalów w Pradze, udarowanym został od cesarza rossyjskiego Mikołaja I. (za wybicie medalu na pamiątkę tegoż bytności w Pradze r. 1835) pięknym brylantowym pierscieniem. Zaszczytny dar ten otrzymał p. Lerch przez ręce p. Wacława Hanki, któremu ten pierścień wraz z listem, pisanym w Karlowarach, przysłany był od posła rossyjskiego na c. k. austryjackim dworze, p. Demetryjusza Tatyszczewa. *A.*

Z Warszawy. Już wyszedł pierwszy tom dzieła K. W. Wojcickiego, pod tytułem: *Klechdy czyli podania i powieści ludu polskiego i Rusi.* — Wyszło tu z druku dziełko: *O domowém wyrabianiu cukru z buraków,* podług rękopisma Tadeusza br. Mostowskiego, byłego ministra spraw wewnętrznych, z Francyi nadesłanego, z dodaniem: Opisu maceracyi miazgi burakowéj zimną wodą, przez N. Kurowskiego. (G. P.)

Z Paryża. Między rękopisami tutejszego księgozbioru królewskiego znajdują się w kilku egzemplarzach pisma Lippomana, zdającego sprawę senatowi weneckiemu z poselstwa do Polski i księdza Ruggiera, który podobną zdawał sprawę papieżowi Piusowi IV. z poselstwa, wyprawionego do Zygmunta Augusta r. 1568. Inne rękopisy włoskie tego księgozbioru, tyczące się dziejów polskich są następujące: 1) *Relazione d'un ambasciatore di cui pur tacesi il nome, che rivornavasi dal re di Polonia* (Zygmunta III.). 2) *Discorso sopra la nuova elezione da farsi del re di Polonia* (Zygm. III.). 3) *Condizioni fatte dare dalla Maesta del Serenissimo Wladislao quarto, re di Polonia et Svecia al Bascia generalissimo dell armi turchesche contra la Polonia, per la pace stabilita col Turco.* 4) *Relazione del regno di Polonia, della quale tacesi il nome del autore* (z 16go wieku).

5) *Relazione fatta alla republica di Venezia da Pietro Duodo intorno allo stato di Polonia ritornando sene ambasciatore della stessa republica presso di quella Corte.* 6) *Relazione di Scipione Casapane sul testamento della regina Bona di Polonia.* 7) *Raguaglio del successo della guerra missa l'anno* 1579 *dal re di Polonia al gran duca di Moscovia.* 8) *Le nozze di Polonia, de Fabri.* (Jestto poezyja w kształcie dramatu, opiewająca ześlubiny Władysława IV.) *X. B.*

Wynagrodzenie poetów. Miasto Paryż każe robić spaniały podarunek dla każdego autora kantaty, która w tém mieście na ratusznéj sali była śpiewaną, mianowicie dla pp. Scribe i Auber. Dwa serwisy srébrne w ogniu złocone, z wszelkim rozlicznym dodatkiem do zbytku należącym, zamknięte w bogato ozdobionych skrzyneczkach z drogiego drzewa, oddane będą artyście i poecie.

Do psychologii światła i barw. Nie tylko w odniesieniu światła i barw do organu widzenia (mówi słusznie prof. Friedrich w *Magazin für Seelenkunde),* ale w spokrewnieniu światła i barwy z duszą należy szukać przyczyny, dla czego ta albo owa barwa tak albo inaczéj usposabia stan umysłu człowieka. Równie jak światło i kwasoród przedstawiają się w życiu mikroskomiczném jako potęgi najszlachetniejsze, a te najidealniejsze potęgi w mikroskomiczném życiu ludzkiem są systematem arteryjalnym i nerwowym, i ztąd wynika stosunek duszy, mocą którego w całéj naturze szuka się nawzajem i lgnie do siebie to, co do niego podobne albo z niém spokrewnione; tak też te idealne potęgi w ciele ludzkiem, mianowicie nerw i dusza szukać i lgnąć muszą do potęg idealnych w ciele świata, to jest: do światła i kwasorodu; dla tego dusza dąży za pomocą zmysłu światła, to znaczy oka, złączyć się z spokrewnioném sobie światłem wszechnoty, i ztąd sobie wytłumaczyć możemy, dla czego owe barwy, w których światło góruje, dla oka czyli raczéj dla duszy są przyjemniejsze i dla czego brak światła wywiera na duszę wrażenie smutne; bowiem w pierwszym przypadku zaspokojona bywa dusza utęskniająca do idealnéj potęgi świata wszechnoty, a w drugim nic. Tym sposobem symbolikę barw oznaczono psychicznie; jasno zielona i czerwona barwa oznacza nadzieję i miłość, czarna smutek, żałobę.

Kres życia ludzkiego obliczony podług bicia pulsu. Pewien autor sławny utrzymuje, że trwałość życia człowieczego obliczyć można biciem pulsu, okazującém siłę jego serca. Położywszy, że wiek zwyczajny człowieka jest 70 lat, i wziąwszy w przecięciu liczbę 60 pulsów na minutę, wynosiłoby całe życie człowieka 2.207.520.000 pulsów; ale gdyby człowiek przez trunek, nieumiarkowane życie i t. d. przymuszał swoję krew do prędszego obiegu, tak, iżby puls w jednéj minucie bił 75 razy, wtedy poprzednią liczbę osiągnąłby w 56m roku, a zatém skróciłby swoje życie o lat czternaście.

Podróż po Egipcie. Książę Pükler mówi w dalszym ciągu swojéj podróży, że egipska szkoła żeglugi w Rassetynie liczy obecnie 1200 uczniów, którzy kosztem rządu są utrzymywani, kształceni i uniformowani, i z których każdy miesięcznie od 20 do 100 piastrów dostaje. Na pokładzie dwóch okrętów linijowych znajdują się dwie szkoły nawigacyjne, w których każdy uczeń miesięcznie 10 piastrów pobiera. W jednéj z tych szkół znajduje się Said-bej, syn wicekróla. Żeglarze pobiérają corocznie trzy zupełne ubiory, a majtkowie prócz tego 15 do 30 piastrów. Wicekról utrzymuje wszystkie męzkie dzieci żeglarzy i za każdego chłopca od urodzenia płaci po pięć piastrów miesięcznie. Inwalidowie marynarki pobiérają miesięcznie 30 piastrów i jako dozorcy są używani.

Przemysł żebraka. Blizko mytniczego domku na moście *des Arts* w Paryżu siedzi żebrak, będący przedmiotem nienawiści wszystkich swoich spółtowarzyszów. Żebrak ten nie prosi nigdy o jałmużnę, tylko gdy kto przez most przechodzi i nie chce odebrać z myta zdawki, która mu się czasem należy, żebrak zdejmuje kapelusz, a poborca rzuca weń tę zdawkową monetę drobnę. Sposób ten ma być tak dalece zyskowny, że się żebrakowi częstokroć 15 do 20 franków dostanie na dzień. Dla tego ze strony towarzyszów robiono mu już nieraz świetne propozycyje względem zamiany, ale żebrakowi idzie niezgorzéj, a zatém nie myśli drugiemu odstąpić tego miejsca.

Język hebrajski. Pewien student ubogi przykładający się do teologii, prosił jednego profesora, sławnego z głębokich badań w zakresie języka hebrajskiego, aby bezpłatnie mógł u niego bywać na kolegijach, ale ten mu odmówił. »Pozwól więc wćpan, ażebym mu płacił tylko połowę,« błagał uczeń, wszak ja ubogi, i nie jestem w stanie sam nauczyć się języka, który do mego powołania tak jest potrzebny.« Profesor odmówiwszy mu i tę prośbę ofuknął się na niego z gniewem: »Za cóż mnie wćpan masz, że się ośmielasz targować ze mną?« — »Za najpiérwszego hebrejczyka w naszych czasach!« odrzekł student i odszedł.

Przebieg złodziejski. Pewien bogaty staroświecki ziemianin nazwiskiem Mondor, nosił dyjamentowe sprzączki u trzewików w wartości tysiąca luidorów. Jednego razu poszedł na operę w Paryżu, i dla oszczędności chwalebnéj, upatrzywszy sobie kącik w parterze, oparł się o mur i przysłuchiwał się z rozkoszą misternemu dziełu Gluka. Tego samego wieczora dawano operę: *Edyp w Kolonie.* Jeden pan, równie gustownie jak bogato ubrany, staje obok Mondora i rozpoczyna z nim rozmowę. Nagle przestaje mówić, schyla się i oparłszy o mur swą nogę, odpina od swych trzewików sprzączki, które jak najstaranniéj zawija w papier i chowa do kieszeni. Jego sąsiad Mondor uważa, co on robi. »Czy wćpan się nie dziwisz memu postępowaniu?« — »Prawdziwie, przyznam się, iż sobie wytłumaczyć nie mogę?« — »Gdybyś wćpan równie jak ja był przymuszony nosić złote sprzączki mniejszéj wartości, z powodu, iżby w tym domu skradziono mu inne dyjamentowe, które sześć tysięcy liwrów go kosztowały, sądzę, iżbyś równie jak ja sobie postąpił.« — »Jako, w tym domu skradziono wćpanu...« — »Tak jest, mości dobrodzieju, gdym się unosił zapałem, jaki doskonała muzyka na mnie sprawiła, młodzi rzezimieszkowie, wsparci od swoich naczelników, którzy mnie otaczali, wcisnęli się pomiędzy nogi mych sąsiadów i z największą zręcznością skradli mi obie sprzączki. Cóż wćpan powiész na to?« — »Wćpan mnie przestraszasz; sprzączki wćpana kosztowały tylko dwa tysiące talarów, jabym moich za ośmdziesiąt tysięcy liwrów nie dał; osądź więc sam, czybym miał ochotę je stracić; użyję więc równéj jak wćpan ostrożności.« To rzekłszy odpina poczciwy człowiek czém prędzéj swoje sprzączki, które dotychczas w najpewniejszém znajdowały się miejscu, zawija je w chustkę od nosa i chowa do kieszeni. W kilka minut poźniéj znalazł pan Mondor próżną swoję kieszeń, a towarzysze doradzcy, a może nawet on sam, zrobili piękną zdobycz. Można sobie wystawić jego zmartwienie, gniew, a osobliwie wstyd, że tak szkaradnie był oszukanym. Wszelkie środki przedsięwzięte do odzyskania sprzączek były daremne.

* * *

P. Klischnig, słynny sztuką udawania małpy, zjechał do Lwowa i daje na tutejszym teatrze przy natłoku publiczności, swoje popisy.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*